

Protesty społeczne, które wybuchły w styczniu w kilku krajach arabskich, doprowadziły do rewolty na całym Bliskim Wschodzie i w Afryce Północnej. W ostatnich dniach krwawa rewolta w Libii wydaje się przechodzić w następną fazę otwartej wojny domowej. Niektórzy obserwatorzy wydarzeń dostrzegają nawet oznaki rewolucji. Tymczasem w światowych mediach trwa debata nad genezą i charakterem arabskiej rewolty. Powszechnie zadawane jest pytanie: czy te gwałtowne wydarzenia doprowadzą świat arabski do demokratycznych przemian?

Powraca zatem debata, prowadzona przed laty na marginesie amerykańskiej interwencji w Iraku, czy możliwa jest demokracja w państwach muzułmańskich. Wśród wielu znawców świata muzułmańskiego utrzymuje się optymistyczna opinia, że demokracja parlamentarna i wybory przedstawicielskie są zgodne z prawem koranicznym. Twierdzą oni, iż świat zachodni niesłusznie zmonopolizował definicję demokracji, która w rzeczywistości może przyjmować różne formy, zależnie od lokalnych uwarunkowań kulturowych. W tych rozważaniach nad demokracją muzułmańską przytacza się argumenty islamskich myślicieli, jak M. Iqbal, H. al-Turabi, A. Shariati, A. al-Mawdudi, czy byłego irańskiego prezydenta Chatamiego. Wszyscy ci teoretycy starali się dowodzić, iż główne zasady demokracji dają się pogodzić z zasadami islamu, że połączenie tych zasad nie odbiega znacząco od chadeckich koncepcji w świecie zachodnim. Wychodząc z takich założeń, podejmowano też polemikę z tezami S. Huntingtona o zderzeniu cywilizacji. Broniono cywilizacji muzułmańskiej przed oskarżeniami o zacofanie i wrogość wobec świata zachodniego.

Zachodni badacze islamu dostrzegają oczywiście, iż proces demokratyzacji w tym świecie zachodzi bardzo wolno. Wielu jednak obwinia za to raczej zewnętrzne czynniki jak kolonializm i międzynarodowy system ekonomiczny. Wydaje się jednak, że starając się dowieść kompatybilności demokracji i islamu niektórzy popełniają poważny błąd. Albo relatywizuje się koncepcję demokracji, aby dopasować ją do muzułmańskiej rzeczywistości, istniejących rozwiązań administracyjnych, które wykorzystują niektóre koncepcje republikańskie, albo naciąga się rzeczywistość świata muzułmańskiego, nie dostrzega się ułomności demokratycznych, aby dopasować się do głoszonych teorii. I tak choć w świecie muzułmańskim powszechnie występuje koncepcja shury – rady, to zwykle pełni ona symboliczną rolę doradczą, lecz nie legislacyjną, gdyż ta często jest przyznawana prezydentowi, królowi, szejkowi lub przywódcy duchowemu. Zamiast koncepcji suwerenności narodu powszechna jest spuścizna myślenia i zachowania klanowo-plemiennego. Zaś idea dochodzenia do konsensu nie jest powszechna dla całego społeczeństwa

lecz jedynie zastrzeżona dla starszyny i establishmentu.

[mc4wp_form id="84"]

Pomimo tych usilnych starań wielu badaczy, którzy pragną dowodzić, że nie kierują się zachodnim „orientalizmem”, świeckim uprzedzeniem do islamu, przytłaczająca większość prominentnych myślicieli muzułmańskich dowodzi od lat, że demokracja jest niekompatybilna z ich religią. Ten pogląd opierają na założeniu, iż prawo islamskie reguluje zachowanie wyznawców we wszystkich dziedzinach ich życia i tylko podążając ścieżką boga można realizować cele w życiu na ziemi. Zdecydowanie przeciwko ideom zachodniej demokracji występowali założyciele i teoretycy Bractwa Muzułmańskiego, H. al-Banna i S. Qutb, którzy domagali się całkowitego oparcia państwa na zasadach Koranu, który zapewnia kompleksowy system zasad współżycia. Wielu islamistów postrzega demokratyczne wybory jako herezję. Nie dostrzega potrzeby tworzenia instytucji regulujących prawo, gdyż prawo wywodzą bezpośrednio z Koranu. Od lat prowadzą walkę z globalizacją, którą utożsamiają z westernizacją i konsumeryzmem, narzuceniem zachodnich zasad współżycia tradycyjnym, paternalistycznym społeczeństwom muzułmańskim. Nie wystarczy zatem zaimportować kilku zasad i struktur z katalogu demokratycznego czy republikańskiego, aby kraj stał się demokratyczny. W wielu państwach muzułmańskich istnieją konstytucje i parlamenty. W wielu praktykuje się nawet ograniczone wybory. Istnienie takich atrybutów republikańskich nie uczyniło jednak Iranu, Syrii, Afganistanu, a nawet Iraku państwami demokratycznymi.

Jak dotąd, zatem świat muzułmański, poza kilkoma wyjątkami jak Turcja, Indonezja czy Mali, nie był gotowy do demokratyzacji. Szczególnie w krajach arabskich przywództwo przejawia post-kolonialne nawyki do paternalizmu i autorytaryzmu. Republikańskie instytucje mają tam charakter fasadowy czy wręcz są atrapami. Choć używa się tam terminów z demokratycznego słownictwa to nadaje im się zupełnie inne znaczenie lub relatywizuje dodając stosowne przymiotniki. Wreszcie w języku arabskim, perskim czy tureckim nie istnieje wiele pojęć odpowiadających w sposób tożsamy naszym terminom republikańskim i demokratycznym.

Nadzieje, iż obecne rewolty w państwach arabskich przyniosą pozytywne zmiany demokratyczne opierają się na obserwacji zachowania protestujących mas. Wydaje się, że protestujący Arabowie nie są zainteresowani odwoływaniem się do jakiegokolwiek ideologii. Nie przywołują też islamu jak Irańczycy w 1979 czy Algierczycy w latach osiemdziesiątych. Nie oznacza to, że żądają sekularyzacji życia. Wiele jednak haseł ma typowo pragmatycznych charakter. Wiele żądań

dotyczy wymiaru ekonomicznego: pracy, chleba i społecznego: respektu, godności. Domagają się odejścia skorumpowanych liderów i dyktatorów. Żądają pluralizmu i demokratyzacji życia politycznego. Ciekawe, iż tym razem żądania demokracji traktowane są jako naturalne, przynależne im prawo. Tym razem demokracja nie jest kojarzona z narzucanymi przez Zachód standardami. To powinno cieszyć, iż demokracja nie jest postrzegana przez pryzmat dawnego programu prezydenta Busha. Co jednak powinno martwić to fakt, iż ruchy protestu w wielu państwach nie mają przywódców, partii politycznych i struktur, które podtrzymałyby proces instytucjonalizacji demokratycznych przemian. Samo zniknięcie dyktatora nie przyniesie demokracji, jak już przekonaaliśmy się w Iraku w 2003 roku. Zniknięcie dyktatorów i osłabienie ich autorytarnego aparatu odsłoni dopiero podskórne życie polityczne w każdym z tych krajów. Polityczny kształt państw arabskich po obaleniu dyktatorów dopiero będzie się wyłaniał i kształtował przez wiele lat. Arabskie przebudzenie nie przypomina zatem naszych przemian z 1989 roku. Raczej można tę sytuację porównać do spontanicznych wystąpień rewolucyjnych w Europie w latach 1846-48. Nie przyniosły one zwycięstwa ale zapoczątkowały wiele pozytywnych procesów demokratycznych i modernizacyjnych.

Od lat największymi i najlepiej zorganizowanymi siłami przeciwko dyktaturom arabskim były ugrupowania islamskie. Istnieje zatem powszechna obawa, że zanim odrodzą się i okrzepną umiarkowane stronnictwa świat arabski pójdzie drogą rewolucji irańskiej, zwycięskiego Hamasu w Gazie czy Hezbollahu w Libanie. Jako dowód na ten scenariusz przytacza się istnienie silnego Bractwa Muzułmańskiego w Egipcie i powrót tunezyjskiego przywódcy islamskiego R. Ghannouchi z emigracji. Od kilku już tygodni ajatollahowie irańscy oferują swój patronat nad arabskimi rewoltami. W ostatnich dniach dokonali nawet prowokacyjnego manewru, przesyłając dwa okręty wojenne do portów syryjskich. Pokazali tym gestem zarówno Arabom jak i światu zachodniemu, że są gotowi do poważnej rozgrywki o hegemonię w regionie. Arabska rewolta może zatem zostać przechwycona przez siły niedemokratyczne i antyzachodnie.

Są jednak powody do umiarkowanego optymizmu zdaniem wielu obserwatorów. Pewne nadzieje, że ten islamski scenariusz się nie zmaterializuje wynikają z faktów, iż jak dotąd protesty nie utożsamiają się z radykalnymi hasłami religijnymi. Rewolty nie zdołały też zostać przejęte przez ruchy dżihadu i al-Kaidy, nadal koncentrujące się na zewnętrznej walce z Zachodem.

Największe nadzieje wynikają jednak z obserwacji zachowania się w ostatnich latach Bractwa Muzułmańskiego. Kiedyś było ono wyznacznikiem sposobu walki, nawet

terrorystycznej, ze światem demokratycznych i świeckich przemian na Bliskim Wschodzie. Dziś wydaje się, że liderzy tego i podobnych ugrupowań zmienili taktykę, z terroru na płaszczyznę polityczną. Dostrzegli też na przykładzie działania umiarkowanej partii islamskiej w Turcji, że można dojść do władzy przez wybory i połączyć elementy demokratyzacji z rozwojem gospodarczym, niezawisłością państwa i wartościami islamskimi.

Wszystko to nie oznacza, że polityczny islamizm jest już martwy, to jeszcze nie jest „koniec historii” na Bliskim Wschodzie i triumf liberalnej demokracji. Wiele wskazuje, że pozytywnym przemianom świat będzie musiał pomóc. Pierwszym regionem, który odczuje ewentualne negatywne skutki przemian na Bliskim Wschodzie jest Europa. Podstawowym instrumentem oddziaływania Unii Europejskiej na państwa tego regionu był Proces Barceloński, a następnie Unia na rzecz Śródziemnomorza. Współpracy tej przyświecała idea zwiększania europejskich inwestycji po drugiej stronie morza. Jednak słabe gospodarki państw arabskich i autorytarne reżimy nie przyczyniały się do tworzenia pozytywnego klimatu dla europejskich inwestorów. Dotychczasowa współpraca ekonomiczna polegała też raczej na zachęcaniu prywatnych inwestorów do aktywności gospodarczej. To się nie powiodło. Alternatywą jest zatem bezpośredni pakiet pomocy finansowej i gospodarczej. Jednak dzisiejszej Unii Europejskiej na to nie stać. Środki na tę pomoc można jedynie zabrać z innych kierunków, np. Partnerstwo Wschodnie lub w przyszłym budżecie mniej przeznaczyć na rozbudowę infrastruktury między innymi w Polsce. Te ograniczenia tłumaczą brak europejskiego zapału do wypowiadania się na temat sytuacji na Bliskim Wschodzie.

Współpracę komplikuje jeszcze polityczny aspekt, paraliż procesu pokojowego, czyli nie rozwiązany konflikt palestyńsko-izraelski. Z tego powodu ministrowie spraw zagranicznych Europy i państw Bliskiego Wschodu nie spotkali się od grudnia 2008 roku, a w ubiegłym roku nie odbył się też planowany szczyt przywódców państw. Jeśli zatem po obaleniu dyktatorów nowe rządy arabskie, może i z udziałem umiarkowanych islamistów, staną się jeszcze bardziej asertywne wobec Izraela, to możliwości współpracy z Europą raczej zostaną ograniczone.

Od dawna oczekuje się bezpośredniego zaangażowania prezydenta Obamy na Bliskim Wschodzie. Oczekiwano, że laureat pokojowej nagrody Nobla bezpośrednio zaangażuje się w palestyńsko-izraelski proces pokojowy. Jednak ostatnie tygodnie pokazują, że amerykańska administracja nie kwapi się do aktywnej polityki. Amerykanie boją się popełnić błędów z czasów rewolucji irańskiej. Nie stać też ich na bliskowschodni plan Marshalla.

Wydaje się zatem, że arabskie przebudzenie trafiło na światową dekoniunkturę i nie może oczekiwać szybkiego, a zarazem bezwarunkowego wsparcia. Warszawa powinna czuć się zaniepokojona taką sytuacją na cztery miesiące przed objęciem prezydencji w Unii Europejskiej. Kryzys w państwach arabskich kolejny raz wykazuje atrofię europejskiej polityki zagranicznej. Utrzymywanie się sytuacji kryzysowej i konfliktowej w państwach arabskich będzie skłaniało Unię jak i poszczególne państwa członkowskie, szczególnie południowej Europy, do doraźnych, chaotycznych działań na rzecz spacyfikowania problemów. To może się odbywać kosztem naszych interesów na wschodzie, a nawet kosztem wspierania naszych programów infrastrukturalnych. W takiej sytuacji, w sposób podręcznikowy, wychodzi bezmyślność działań naszego rządu w ostatnich latach na Bliskim Wschodzie. Wycofując wojska z Iraku (gdzie 60% kosztów pokrywali Amerykanie) i z operacji pokojowych w Libanie i na Wzgórzach Golan (gdzie większość kosztów pokrywał ONZ) utraciliśmy instrumenty oddziaływania politycznego w tamtym regionie. Ale ponieważ dyplomacja przypomina strukturę naczyń połączonych, tracąc instrumenty polityczne na Bliskim Wschodzie, ograniczyliśmy też możliwości działania na priorytetowym kierunku wschodnim. Kryzys arabski udowadnia, że w polityce międzynarodowej należy zawsze liczyć się z niespodziewanymi, negatywnymi wydarzeniami i trzeba mieć zdolność do grania na wielu fortepianach, a nawet instrumentach w międzynarodowej orkiestrze.